

Puławy, dn. 17.czerwca 1946 r.

Jak i gdzie się uczyłam za okupacji niemieckiej. *84*

Czas wszystko zaciera. Zaciera z nieubłaganą systematycznością wypadki, zdarzenia, nazwiska i twarze osób znanych kiedyś, przykre chwile, smutek. Zaciera powoli okres dzieciństwa i młodości. Zaciera, ale nie wymazuje. Otacza wszystko jakaś mgła, przez którą widzimy świat, w którym żyliśmy, ale odnajdujemy go innym, anizeli był w rzeczywistości, pięknym, słonecznym, prawdziwym rajem, zacierają, znikają przykre chwile. Są jednak wyjątkowe wypadki, są okresy w życiu człowieka, które nie zdoła zatrzeć czas. Zostaną wryte w pamięć z całą swoją brutalnością, nie znikną przykre, bolesne chwile, ostro będą rysowały się cierpienia, straszne obrazy nie zejda z oczu. Takim właśnie okresem i niezatartymi przeżyciami dla każdego Polaka są czasy straszej okupacji niemieckiej. Będą ją pamiętać nie tylko ludzie dorośli, młodzież starsza i młodsza, ale nawet malutkim dzieciom, które już coś niecoś rozumiały pozostawi przykre wspomnienia.

Obecnie chodzę do IV.klasy gimnazjum i należę do tych szczęśliwców, którzy nie stracili w nauce ani jednego roku. Zawdzięczam to kompletnie tajnym, jakie się zawiązały w moim mieście. Gdyby ktoś chciał zobaczyć, jak się odbywała moja edukacja, musiałby przyjechać do Puław, zajść do dzielnicy letniskowej "Działki" i tam dopiero musiałby się błąkać po wszystkich uliczkach tej miejscowości. Pierwsze kroki należy skierować na ulicę Dąbrowskiego Nr.5, obejrzeć dom dookoła, a zwłaszcza ganek, znajdujący się z tyłu budynku i lewe okno. Następnie trzeba przejść na ul. Sienkiewicza Nr.23 /a radzę dobrze nogi wyciągać, bo to spory kawał/. Tam w ogrodzie otoczonym drzewami, krzewami stoi domek z gankiem z frontu. Tym razem jednak nie ganek jest ważny, ale okienko, znajdujące

się na strychu po lewej stronie całkiem zasłonięte przez gałęzie brzozy. Mam wrażenie, że ów "ktoś" po przejściu takiej drogi miałby dość zwiedzania. Bo rzeczywiście tak, Działki, a szczególnie ul. Sienkiewicza jest piaszczystą pełną dzikich wykrótów, krzewów, obszarów niegościnnego piasku, gdzie tylko skąpy mech porasta. Miejsce to na zebranie naszego zakonspirowanego kompletu nadawało się wybornie. Należy jeszcze bacznie przyjrzeć się sąsiedniemu białemu domowi, wszystkim jego parkanom i dziurom wnich / jeśli nie są załatanane/, których istnienie błogosławiliśmy ongiś. Muszę jeszcze wspomnieć o jednym domu na ulicy Kruka z małym, okrągłym, bocznym okienkiem, należącym do Łazienki, gdzie zdawaliśmy u pana profesora Zinkiewicza, Dyrektora tajnego nauczania, najgroźniejszy z najgroźniejszych egzaminów, egzamin z geografii. Przez cały czas chodziłam na komplet do pani profesorki Boskiej. Komplet ten składał się z ośmiu dziewczynek i dwóch chłopców, a lekcje odbywały się początkowo przy ulicy Dąbrowskiego, z chwilą przesiedlenia Profesorki, przy ul. Sienkiewicza. Tam to przerobiłam I. i II. klasę gimnazjalną.

.....

Mały jasny pokój, posrodku stoi stoł, wokół 10 głów pochylonych nad pisaniem, słysząc skrzyp piór i głos Profesorki: "Pewien kapitał podzielono jak 1:2:3 itd. Cisza, zawzięte gryzienie ołówków i skubanie ceraty jest oznaką intensywnego myślenia. Wskazówki zegara poruszają się naprzód i w miarę ich zmiany położenia zmieniają się kolejno książki na stole. Książki — to zbyt szumne określenie. Były to podarte, poplamione kartki, obłożone w jakąś okładkę, którym właściciel za wszelką cenę chciał nadać wygląd normalnej książki. Było ich 3 — 4 najwięcej. To też skupiamy się w gromadki i śledzimy za głosem czytającej koleżanki, czy kolegi. Tak to zdobywaliśmy wiedzę. Naprzeciw "szwabom" dowiadywaliśmy się, że Mazowsze jest basenem, że rzeczowniki Łacińskie, kończące się w drugim

przypadku na is należą do III. deklinacji, ze najistotniejszą częścią Mszy św. jest Przeistoczenie, że Grecy stoczyli bohaterką bitwę pod Termopilami, że ptaki należą do gromady kręgowców i t.p.

Okno jest szczelnie zamknięte. Nazewnątrz nieśmiało być słyszonym żaden dźwięk, czy słowo, świadczące o odbywającej się z tu lekcji. A to tak trudno nie mówić ani pośmiać się głośno w chwilach przerw między jedną lekcją a drugą, tak trudno żeby nie szurać krzesłami przy wstawaniu. Wtem z podwórka dolatuje głośna rozmowa kilku osób, słychać kroki na werandzie. Wszyscy zamieniamy się w słuch. Dusze wyskakują na ramiona, serca biją pośpiesznie, cisza zalega śmiertelna, tylko ręce odruchowo chowają książki i zeszyty. Profesorka wychodzi pośpiesznym krokiem. Czekamy co będzie. Swidrujemy spojrzeniami ściany, jakbyśmy chcieli wiercić dziury, w które można by się było schować, lub wynaleźć drzwi boczne. Niestety — zbyt dobrze wiemy, że oprócz okna i drzwi, z których oczekujemy niebezpieczeństwa, nie ma innego wyjścia. Już pochwili dają się słyszeć kroki kilku osób, gwar rozmowy, trzaskanie drzwi. "Wohnungsamt" pada z czyichś bladych ust. Zrywamy się z krzeseł jak poruszeni sprężyną. Każdy z nas inaczej reaguje. Jeden łapie swoje manatki i usiłuje z nimi znaleźć schronienie pod łóżkiem, lub za szafą, inny za wszelką cenę chce schować tylko swoją osobę, drugi traci głowę, inny znów siera wszystkie książki i pcha je pod kanapę, czyjeś znów drżące ręce usiłują otworzyć okno. Nadaremnie! Hałas, gonitwa, wszystkie krzesła leżą na ziemi. Część z nas ukryła się już. O naiwni! Przecież z pod łóżka widać 4 pary nóg, wszyscy się nie mieszczą, to też łóżko podnosi się do góry i na dół. Na szczęście wchodzi Profesorka. "Wyłażcie, to tylko spis inwentarza", mówi, śmiejąc się serdecznie, widząc nas gramolących się z ukrycia. Żadna siła nie powstrzymała by teraz wesołego śmiechu, który

jest jednocześnie odprężeniem nerwowym. Lekcja dobiega końca. Takie wypadki zdarzały się bardzo często. Na werandzie zbierają się już drugoklasiści. W tym szanownym towarzystwie rok od nas starszym, a patrzącym na nas z wysoka, jakby wszystkie rozumy pozjadali - nie lubiliśmy się szczerze. Złościło nas to, że ci posiadali zawsze najświeższe wiadomości, że opowiadali Profesorce w zaufaniu o następnej łapance /której nigdy wtedy nie było/, o rychłych odwiedzinach "Wohnungsamtu". To ostatnie prędzej się sprawdzało. Był to urząd, który w pracy dwoił się, troił. Co by było, gdyby wizyta wypadła podczas naszej lekcji? Lepiej nie myśleć. To też nie myśleliśmy, ale baliśmy się. I w takich to warunkach uczyliśmy się nie zdając sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa, a poświęcenia wielkiego tych wszystkich, co nas uczyli. Pory roku przesuwają się za oknem. My wciąż wytrwale dążyliśmy na lekcje. Równocześnie ze zmianą pogody doznawaliśmy coraz innych doczuć fizycznych; zimno przenikało przez nasze wyszarzałe, przykrótkie ubrania /nic dziwnego, był to czwarty rok wojny/, wczesną wiosną były narazone nasze kończyny dolne na ciągłe moczenie się, a słuch wyraźnie odróżniał nieprzyjemny chlupot w naszych butach. Nikt się tym nie przejmował. Wazniejsze dla nas było to, że "Leśni" związali, okolczykowali jakiegoś Niemca i przywieźli go do zandarmerji. Taka wiadomość wprawiała naszą "grandę" w złoty humor. Nadeszło lato, a z nim zaszły poważne zmiany w świecie i u mnie w domu. W tym czasie został aresztowany mój ojciec. Jak ogromny, bolesny był to dla nas cios - nie da się opisać. Drżało się tylko teraz i modliło o życie dla niego, czekało się ciągle na jakąś wiadomość, na parę choć słów z więzienia. Nadchodził czas egzaminów. Trzeba się było uczyć ze zdwojoną energią. Ponieważ nasza Profesorka została przesiedlona na ulicę Sienkiewicza, uczyliśmy się w nowym lokalu - na facjacie. Jednak na tak prozaiczną nazwę nie chcieliśmy się zgodzić.

82

- 5 -

Przerabialiśmy wtedy mitologię grecką, pod jej to wpływem przechrzciliśmy to miejsce na Olimp, a siebie na ich mieszkańców. Nasza Profesorka Hera, bo i ona również wchodziła w skład bogów, urządzała codziennie uczyty, /lekcje/ po których my, dumni bogowie, wstępowaliśmy łaskawie na ziemię. Bogom greckim nie obce były uczucia ludzkie, to też i my pociłiśmy się na łacinie, drzeliśmy na myśl o przyszłym egzaminie. Z Olimpu chyłkiem, by nie zwrócić uwagi szwabów, wymykałiśmy się pojedynczo do okopu. Okop znajdował się w ustronnym miejscu, był to porzucony stary, schron. Jak byliśmy strasznie nieostrożni, spostrzegam dopiero teraz. W tym to okopie zbierała się cała granda. Gdyby ktoś przysłuchiwał się naszemu rozmowom, usłyszałby z początku kucie lekcji, ale po pewnym czasie dowiedziałby się czego innego; jawne byłyby mu wszystkie wiadomości miejscowe, a to, że: "leśni" w nocy tor kolejowy zerwali, że wyprawa szwabska do lasu skończyła się paniczną ich ucieczką, że tego to a tego aresztowano, że wczoraj gdzieś tam rzucono ulotki i t.p. Potem następowały kawały polityczne, przerywane wybuchami śmiechu. Każdy pogodził okop był miejscem naszych zebrań.

Egzamin zbliżał się wielkimi krokami, pragneliśmy go odwlec. Daremnie. Wreszcie nadszedł ten straszny dzień. Siedzieliśmy w łazience przy stoliku, nakrytym zielonym suknem, od którego pozieleniało nam w oczach. I "kłapiąc" ze strachu zębami, odpowiadaliśmy na pytania. O dziwo, egzamin wypadł zupełnie dobrze. Przy tym samym stoliku w godzinę później zdawaliśmy matematykę, a popołudniu - niemiecki, ale już w innym miejscu, w białym domu przy ulicy Sieroszewskiego. Zdenerwowana mocno odmieniam słowo "der Wald", usłyszałam jakieś krzyki w sąsiednim pokoju. "Co by to mogło być?" przemknęła myśl. Krzyki, kroki, bieganina zlały się w jeden hałas. Ktoś wykrztusił: "To zandarmi". Wystarczyło. Porwaliśmy się z miejsc i jednej chwili opróżniliśmy pokój. Zaczęła się dzika ucieczka

"na łeb, na szyję". Parkany, parkaniki, krzaki nie stanowiły dla nas żadnej przeszkody. Przebiegliśmy cały ogród, wreszcie dziurą wparkanie / tą właśnie błogosławioną dziurą / dostaliśmy się na polankę z krzakami, potem po piachu gnaliśmy dalej, dostaliśmy się na ulicę. Nie wiem, co czuli i myśleli moi towarzysze niedoli. Pewnie odczuwali ten sam strach, co ja. Ten strach, co kazał biec bez wytchnienia, strach, co dodawał siły i nasuwał straszne obrazki przed oczy. Zmęczeni śmiertelnie podrywaliśmy się znowu do dalszej ucieczki. Nasz niezwykle wygląd zwracał uwagę przechodniów; oczy wystraszone, włosy pełne gałązek i liści, ubranie podarte. Wyczerpani do ostatnich granic zatrzymaliśmy się. Spostrzegliśmy z nieopisaną radością, że nikt za nami nie biegnie, że nie widać znienawidzonego, budzącego strach munduru niemieckiego. Stanęliśmy, dysząc ciężko. "Czy to donos, czy przypadkowa rewizja, co się z nami stanie?" wykrztusił ktoś pytanie. Wiele upłynęło chwil, zanim postanowiliśmy się wrócić, aby zbadać sytuację. Jakie było nasze radosne zdziwienie, kiedy zobaczyliśmy wychodzących z podwórka "czubarików", za którymi pan profesor Szymański zamknął bramkę, "To tylko pomyłka, więc to nie byli Niemcy, a tych nie aresztowano"! cisnęły się radosne myśli. Podbiegliśmy pędem do Profesora. Co się okazało. Kilku "czubarików" przyszło tu w zamiarach handlowych, a że ich nie wpuszczono, urządzili awanturę. Strasznie się z nas potem śmiano, podziwiając naszą niezwykle zręczność, gdy przeskakiwaliśmy przez płoty. Nadszedł wreszcie kres naszych egzaminów. Chociaż stopnie miałam dobre, nie sprawiało mi to radości. Nie mogłam się nimi pochwalić przed ojcem. Smutne to były czasy. Czas liczyło się tylko listami od niego. Żył się wiadomością i wiarą wprędkę kres tej wojny. Pracę u pani Szalkiewiczowej, która ryzykując przed Niemcami, przyjęła mnie jako praktykantkę w ogrodzie, wysyłanie paczek dla ojca pochłonięły całe wakacje.

To że mimo tylu przeciwności, braków, niewygód pełniliśmy

80

swój obowiązek zawdzięczamy silnej wierze w lepsze jutro,
tej wierze, która właściwie przemieniła się w pewność, w
pewność tak wielką, jaką mogli tylko posiadać potężni bogowie
Olimpu. Wszystko to należy dziś już do przeszłości. I my,
młodzież, patrząc na to z oddalenia czasu, doceniamy wielkie
bohaterstwo i poświęcenie nauczycieli, którzy podczas gdy
ich koledzy za szerzenie wiedzy napełniali więzienia, oni
nie zrażając się tym, stali jak żołnierze na swych posterun-
kach.

Irena Pychówna,
uczenica IV. klasy gimnazjum
państwowego, im. Ks. Adama Czartorys-
kiego w Puławach.